

Wspomnienie o Marianie Rusku.

Marian Rusek był ode mnie młodszy o niemal dokładnie jeden miesiąc. Razem uczyliśmy się w tej samej szkole podstawowej w Warszawie przy ulicy Wawelskiej. W połowie nauki nasza znajomość urwała się na kilka lat, gdyż rodzice Mariana wyjechali na placówkę do byłego NRD zabierając oczywiście ze sobą swoje jedyne dziecko. U naszych zachodnich sąsiadów Marian ukończył tzw. dziesięciolatkę, zamiast PRL-owskiej ośmiolatkę. Spowodowało to późniejszą, śmieszną anomalię w jego wykształceniu.

Od najmłodszych lat Marian wykazywał duże zdolności w dziedzinach ścisłych. Dlatego, po powrocie z Niemiec, rodzice słusznie uznali, że nie ma sensu chłopakowi marnować życia posyłając go do liceum. Marian bez trudu zdał egzaminy na prestiżowy Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej Politechniki Warszawskiej. W wieku zaledwie 26 lat obronił w Instytucie Fizyki PAN błyskotliwy doktorat z fizyki teoretycznej, by potem wyruszyć na staże podoktorskie do USA i Francji. W roku 2009, ponownie w Instytucie Fizyki PAN, uzyskał stopień doktora habilitowanego.

Marian szybko się nudził dziedzinami, które opanował. Zawsze kusił go nowe wyzwania. W ten sposób zaczął dryfować ku informatyce, a z naukowca zamkniętego w zaciszu swojego gabinetu, przekształcał się w cenionego dydaktyka, zdobywając stanowisko profesora na Wydziale Zastosowań Informatyki i Matematyki SGGW.

A gdzie wspomniana anomalia w wykształceniu? Uważny Czytelnik być może już dostrzegł: Marian był profesorem bez matury! W gronie przyjaciół regularnie żartowaliśmy z tego faktu, by potem niezmiennie dochodzić do wniosku, że ludzie ponadprzeciętnie zdolni powinni wydeptywać własne ścieżki, a nie zaprzętać sobie głowy jakimiś biurokratycznymi schematami.

Poza pracą zawodową Marian był zapalonym sportowcem. Uprawiał biegi długodystansowe, kolarstwo i zaawansowaną turystykę zarówno pieszą, jak i rowerową.



Fot. 1 Marian konsumujący jajecznicę z kiełbasą w wiejskim barze (Kirgizja, 2018).



Fot. 2 Marian (z prawej) z uczestnikiem wyprawy Pawłem Górskim i arbuzem znalezionym na drodze (Kirgizja, 2018).

Zainteresowania podróżnicze Mariana są mi szczególnie dobrze znane, bo wielokrotnie razem odwiedzaliśmy niezwykle miejsca. Wymienię tylko kilka najwspanialszych naszych wspólnych wypraw: Półwysep Kolski i Wyspy Sołowieckie (Rosja, 1997), wschodnie

wybrzeże jeziora Bajkał (Rosja, 2002), pogranicze ukraińsko-rumuńskie (2003), Kazachstan (2010), Kirgizja i Uzbekistan (2018), Gruzja (2019). Wszystkie eskapady były wyczerpujące fizycznie i psychicznie. Potrafiliśmy oddalać się od cywilizacji na wiele dni, nocowaliśmy w namiotach, a jedzenie przyrządzaliśmy na ogniskach. Marian odznaczał się nadzwyczajną kondycją. Wielokrotnie zdarzało się, że dochodził albo dojeżdżał na rowerze do celu (szczyt góry, przełęcz itp.) jako pierwszy i robił nam piękne zdjęcia.

Marian był osobą niewątpliwie impulsywną. Potrafił nagle na kogoś nakrzyczeć z błahego powodu, ale również szybko przeprosić. Po kłótni nigdy nie chował w sobie długo urazy. Można Go też określić mianem uroczego łobuza. Ten jego charakter czynił nasze egzotyczne wyprawy turystyczne jeszcze ciekawszymi. Bo czyż nie dostaje się gęziej skórki wznosząc toast koniakiem na środku ulicy w ...kraju muzułmańskim? A bywał prowodyrem takich drobnych występów!

Marian był osobą niezwykle pomocną. Wielokrotnie odwiedzał w domu przewlekłe chorego kolegę-profesora z Instytutu Fizyki PAN. Czasem tylko towarzysko, ale czasem organizował i zapewniał mu transport np. do gabinetu dentystycznego. Marian motywował wielu ludzi do zdobywania wykształcenia lub zatrudnienia. Co istotne, potrafił poświęcać swój czas osobom, które same nie wykazywały jakiejś szczególnej inicjatywy. Niestrudzenie wierzył, że akurat jemu uda się je zaktywizować, pobudzić do działania.

Marian ożenił się jesienią ubiegłego roku. Miał wielkie szczęście poślubić uroczą Joasię. Wszystko wskazywało na to, że czekają ich długie i szczęśliwe lata życia. Niestety, gdzieś, na jakimś niebiańskim dysku, zapisany był koszmarny scenariusz. Zaledwie kilka miesięcy później u Mariana wykryto zaawansowaną chorobę nowotworową. Co zrozumiałe, dostał wielotygodniowe zwolnienie lekarskie. W swoim stylu szybko znudził się chorobą. A i też zapewne nie zamierzał się poddawać. Na początku kwietnia pojawił się w Przychodni SGGW, by domagać się przywrócenia do pracy. Lekarze medycyny pracy, widząc naprawdę lichy stan pacjenta, stanęli przed trudnym zadaniem. Ostatecznie, po 3-godzinnej naradzie, ulegli nieustępliwemu pracownikowi i Marian powrócił do swoich zajęć! Na Radzie Dyscypliny wygłosił referat dotyczący Katedry, którą kierował, wznowił wykłady dla studentów. Jako że 17 maja nad ranem choroba okazała się silniejsza, można powiedzieć, że pracował do końca życia.

Dotąd pisałem tylko o Marianie. Jednak jeden akapit należy się Joasi. Gdy dowiedziała się, że Marian jest chory, zrobiła naprawdę wszystko, aby Go ratować. Gdy stało się jasne, że nie można już nic zrobić, była przy nim do ostatniej minuty. Joasiu, przyjmij moje wyrazy uznania!

Nauka nie rozstrzyga, czy po tzw. drugiej stronie coś jest, czy niczego nie ma. Pragnę zwrócić jednak uwagę na jedno zdarzenie. W zaproszeniu na majową Radę Dyscypliny znalazła się podejrzana literówka w punkcie 2-gim: „Wspomnienie o śp. dr hab. inż. Marianie Rysku, prof. SGGW”. Zauważmy, że „y” w języku rosyjskim to polskie „u”, a bohater niniejszego wspomnienia biegle tym językiem władał. Nasza Pani Sekretarka została zmuszona do rozesłania poprawionej wersji. Ten incydent oczywiście niczego nie dowodzi, ale ...może nasuwać pewne przypuszczenie. Na przykład takie, że Marian po drugiej stronie jest, czuje się dobrze i daje nam o tym znać płatając figle tak, jak miał to w zwyczaju wiodąc swoje doczesne życie.

Autor: Michał Szymański

Zdjęcia: Piotr Tederko (lekarz, nieformalny kierownik naszych wypraw turystycznych)